ROZMAITOŚCI.

Dnia 31 października, N.ro 44. roku 1846.

Do Redakcyi Gazety i Rozmaitości Lwowskich.

Oznajmiła Redakcyja czytelnikom swoim w numerze 42 Rozmaitości t. r., że dalszych rozpraw o mojéj Grammatyce umieszczać niebędzie, i nawet wystąpiła otwarciéj ze swojém zdaniem. Postanowienie nieumieszczania dalszych rozpraw jest słuszné: bo do rozmiarów pisma zastosowané, — na zdanie przypiskowé, treściwé saméj Redakcyi niemam ochoty dziś odpowiadać. Lecz jeżeli Redakcyja przy swojém postanowieniu pozwoliła jeszcze raz przemówić p. Pilatowi; nie może bez obrażenia praw oskarżonego odmówić tym krótkim wyrazom odpowiedzi.

P. Pilat cieszy się ze zdania p. Czajkowskiego, pospiesza się z jego ogłoszeniem i każe je uważać za poparcie swoich twierdzeń. Gdyby twierdzenia p. Czajkowskiego zgadzały się z twierdzeniami p. Pilata; słuszniéby ten ostatni mógł się zastawiać osądem rodaka i jeszcze w stolicy tak ważnéj, jak jest Warszawa, odzywającego się: ale zarzuty p. Pilata innych, zarzuty p. Czajkowskiego innych przedmiotów się tyczą, — p. Czajkowski jest nawet krytykiem postępowym: bo już rozumié moję o raku wzmiankę, któréj p. Pilat niemógł pojąć. Gdzież więc jest to tak ważné podparcie twierdzeń p. Pilata? Sąto tylko zarzuty podobne owym, które były czynione młynarzowi w bajeczcze Lafątena. Niesprawiedliwym jednak niebędę i przyznaję zgodność obu moich krytyków co do wycieczek na nasz świetny wiek XVIty: ale na to już odpowiedziałem w numerze 39 Rozmaitości i kiedyś jeszcze przyczynę tych wycieczek przed Rodakami odkryję.

P. Czajkowskiemu może gdzieindziéj odpowiém, wstydzi mię jednak, że mam do czynienia s krytykiem nieznającym swégo powołania, s krytykiem, który swojéj powagi sędziowskiéj pracami nad językiem nie dowiódł i śmiało się przyznaje: że nieczytał nawet moich Rozpraw już mających jakie takie u znakomitych ludzi znaczenie, na których przecię Rozprawach cała Grammatyka polégа. Czy to jest uczono, poważnie, rozumownie i sumiennie postępować?... Cieszy mię jednak, że moje dzieło tyle nieprzyjaciół wywołało: bo i nieprzyjaciele, jeżeli nie mnie, to mojéj sprawie dopomogą. Warszawa sama liczy kilku uczonych w pracy nad językiem odznaczających się, może się z nich który niepoleni być rozjemcą gruntownym i wprawnym przez doświadczenie już sił swoich w tak trudnym zawodzie: bo dotąd zarzuty w różne strony wymierzane dowodzą tylko niepewności i osobistégo usposobienia krytyków. Wtedy tylko uznam błąd jakiégo mojégo prawidła; jeżeli znakomici ludzie okażą to mocniéjszémi ode mnie dowodami i na jedno się zgodzą: dziś tylko powtórzę słowa Chrześcijanom znajome: *Panie! odpuść: bo niewiedzą, co czynią.*

Niezrażony jeszcze pomimo tych krzyków w moim zawodzie ulubionym, będę postępował s krytykami podobnémi p. Pilatowi i Czajkowskiemu jak w grze szachów, i postaram się ich do matni zapędzić; a wtedy młodzież nasza rozsądna, słusznie od p. Pilata o fałszywych prorokach ostrzegana, przekona się o posłannictwie moich przeciwników i mojém.

Łancut 1846 roku, 19. paźdź.

Jan Nep. Deszkiewicz.

Duch opiekuńczy.

Pani Bontemps, małżonka pierwszego kamerdynera jego królewskiéj mości Ludwika XV, była właśnie od niedawnego czasu owdowiał[illegible] jednakże, prawdę mówiąc, bynajmniéj do r[illegible]paczy jéj nie przywodziło; wszakże nie przeto, jakoby jéj mąż nieboszczyk miał być niegdyś zazdrośniejszym, surowszym i kwaśniejszym, niż każdy małżonek być powinien; owszem ś. p. pan Bontemps, ukształcony widokiem serajowego dworu Ludwika XV, wyuczył się na przykładzie swego najjaśniejszego pana, jak pobłażającymi wówczas małżonkowie dla swoich żon być musieli. Ztąd zamiast chymerycznym nieraz zachceniom i wymysłom swojéj żony po para-

fijańsku się sprzeciwiać, starał on się owszem ochoczo im zadość czynić, kierując się zawsze tą zasadą: co żona chce, na to mąż zezwolić powinien. Takiego męża, jak to łaskawe czytelniczki same na pierwszy rzut oka przyznają, trudno było drugim zastąpić; a zatém pani Bontemps postanowiła zostać wdową.

Uchodziła ona za ładną, a osobliwie za nadzwyczajnie przyjemną. Rysy jéj twarzy nie były wprawdzie pierwowzorem doskonałéj piękności, lecz za to jéj wyraz, i cały jéj dziwnie powabny układ, miał coś niewymownie nadobnego i ujmującego w sobie. Takie śliczniutkie, miłe twarzyczki, wzniecają często daleko silniejsze namiętności, niż owe duże piękne i regularne twarze, które się zazwyczaj w pewnéj odległości podziwia. Wszakże gryzetka wywiera nierównie mocniejsze wrażenie niż niejedna księżniczka. Była więc pani Bontemps, jeżli prawdę powiedziéć mamy, nic więcej, jak gryzetką dobrego urodzenia, umiąca się doskonale wszędzie znaleźć, i przepyszną toaletą zalecić. Ludwik XV uszczypnął ją zawsze w policzek, ile razy ją spotkał, a to z miłości — do swego nieboszczyka piérwszego kamerdynera.

Przezroczysta, jak śnieg biała płeć, ciemne, żywe, pięknie wykrojone oczy, małe, koralowe ustka, które zawsze się uśmiéchały, aby swoje perłowe ząbki pokazać, stanik, który można było w dwie piędzi objąć, kształtna i smukła kibić, pełna pierś, ramiona najpiękniejszego toku, wreszcie nóżki jak u sylfidy, — byłyto bez wątpienia niebezpieczne powaby, które mogły cnotę najzimniejszego świętoszka zachwiać. Pani Bontemps miała tyle właśnie przesądów ile przodków; tajne swe miłostki zasłaniała jawną przezornością, a swych kochanków kryła w cieniu swego małżonka. Zostawszy wolną, i utraciwszy pokrywający płaszczyk, odprawiła pani Bontemps wszystkich swych wielbicieli, i uwzięła się być cnotliwą.

Nie mając jeszcze lat 30, oświadczyła stanowczo, iż nie chce słyszéć ani o miłości, ani małżeństwie. Natomiast zdało się, jakby nienasyconą próżnością błyszczéć przed światem chciała, chlubiąc się klęską, jaką jéj piękne oczy sprawiały; jakoż całą jéj usilnością było, zniewalać jaknajwięcéj serc dla siebie, aby tryjumf jéj uświetniały. I w saméj istocie miały też jéj wdzięki tak zgubną władzę, iż w przeciągu jednego roku beznadziejna, niewzajemna miłość, dwóch jéj wielbicieli do samobójstwa, trzech do nagłego wyjazdu za granicę, a jednego nawet do obłąkania zmysłów przywiodła.

W liczbie tych wielbicieli znajdował się także jeden, który ani się nie zabił, ani nie odjechał, ani pomieszania zmysłów nie dostał. Byłto daleki młody kuzyn naszéj wdówki, niejaki Baltazar de Candal, kapitan pułku gwardyi francuzkiéj, ladaco na wielki kemień, godzien dopuścić się wszystkiego, prócz rozsądnéj myśli i dobrego uczynku. Zaraz po przeniesieniu się pana Bontemps do wieczności, oświadczył się on zostać jego następcą, i już nawet swoich równie zacnych koleżków z pułku naprzód na wesele zaprosił. Wprawdzie pani Bontemps najdobitniéj staraniom i prośbom jego się sprzeciwiała, a nawet mu swéj wzgardy nie taiła; wszelako pan kapitan nie dał się tém odstraszyć, i nie zmieniając wcale swego sposobu życia, trwał ciągle w swoich żołniérsko-naprzykrzonych zalotach, chociaż mu pani Bontemps nawet wstępu do swego domu nie dozwalała. Ile razy wolny od hulanki lub szulerki czas tego dozwalał, przychodził de Candal nadaremnie pode drzwi jéj mieszkania, srożył się tam namiętnie, groził rezydentowi i służącym, klął i łajał co mu sił stało, a wreszcie kończył zazwyczaj uroczystém poprzysiężeniem, iż się przecież, bądź co bądź, prędzéj czy późniéj z nią ożeni; poczém wracał nazad do swoich towarzyszy, aby grał i pił z nimi.

W r. 1767 przedstawiano operę w jednéj z sal Tuileryjów, a pani Bontemps bywała zwykle na każdém przedstawieniu. Jednego razu przy wychodzeniu rozłączyła ją nadzwyczajna ciżba ludzi od jéj służącego, i szybko ją naprzód uniosła. Atoli obawa pani Bontemps z tego powodu, wzięła wcale inny kierunek, gdy nagle stanęła przed nią jakaś okropna postać człowieka, nie mająca w sobie nic człowieczego, — i przeraźliwie wytrzeszczonémi oczyma niezmiennie w nią się wpatrzyła. Straszny ten człowiek nie był jednakże ani garbatym, ani chromym, a modny jego frak o guzikach dyjamentami wysadzanych świadczył, iż fortuna była dlań daleko w swych darach szczodrobliwsza niż natura. Ospa spotworzyła do tego stopnia jego siniawo-czerwone lica, iż pod miejscem, gdzie miał być nos, którego jednak nie było, widny był ciemny otwór, mający być ustami, które żadnych prawie warg nie miały; przez czoło szła duża sina blizna, nie dodająca mu wcale wdzięku; zamiast brew ciągnęły się dwa czerwoniawe szramy; a wreszcie głowa była okryta rzadkiémi, ceglasto-rudémi włosy.

Pani Bontemps, na widok tego potwornego zjawiska, omało nie zemdlała; na szczęście natłok ludu ścisnął ją tak mocno, iż głośno wskrzyknąć musiała. Nato zbity kłąb ludzi, którzy jeszcze w téj chwili tak nielitościwie się gnietli, natychmiast się zastanowił; pani Bontemps mogła się znowu do swego służącego dostać, a ten zaprowadził ją ochronnie do powozu. Przecież, lubo owe straszydło już się więcéj nie pokazało, obziérała się pani Bontemps co chwila poza siebie, czy ono za nią nie idzie. Przez dwie nocy marzyła o niém ciągle piękna wdówka.

W końcu, zapomniawszy już zupełnie o tém spo-

tkaniu na operze, otrzymała ona pocztą asygnacyję na dwa tysięcy luidorów, zawartą w bileciku, który opiewał jak następuje:

»*Madame!*

Żem panią widział, jestto największém szczęściem ale i największém nieszczęściem życia mojego, albowiem jestem skazany, nie dać się pani nigdy poznać, abym nie ściągnął nienawiści pani na siebie. Jednakże żyć nie mogę, nie widząc cię, lub przynajmniéj cienia twojego. Będę więc jak duch krążył koło ciebie, a jedyną radością, jedyną pociechą moją będzie twój widok, pani. Wiem ja to dobrze, iż miłość takiego jak ja człowieka, zgrozę w tobie obudza, a przecież mimo to wszytko kocham cię pani, chociaż nie jestem tak zapamiętały, abym się spodziewał, od ciebie być kochanym. Patrząc tylko w twoje oblicze, przenikając się promieniem twojego oka, pochwytując dźwiek twego głosu; będę już tak szczęśliwym, jak tylko tu na ziemi być mogę. Uczucie, któreś we mnie wzbudziła, jest obce sercu twojemu, i nie pragniesz nawet dowiedzieć się, kto jest ten nieszczęśliwy, co nieustannie śmierci sobie życzył, nim ciebie ujrzał. Pozostanę obcym dla ciebie na zawsze, aby ci ująć przykrości patrzenia na mnie; wszakże śmiém jednę zanieść prośbę, i spodziewam się, iż nie będziesz tak okrutną, abyś mi ją odmówić chciała: racz bywać jaknajczęściéj na operze, i wszedłszy, spojrzyj niekiedy wzrokiem politowania ku orkiestrze. Jakkolwiek przelotnym i obojętnym wzrok ten będzie, przyjmę go z rozkoszą, i poprzestanę na nim. Strój podwaja wdzięki piękności kobiecéj, a zależy mi na tém, abyś pani jak można najpiękniéj się wydała, aby mi wolno było pomyśléć, żem poniekąd do tego się przyczynił.... Proszę panią więc, przyjąć załączonych dwa tysięcy luidorów, które co m i e s i ą c a przysyłać będę z wdzięczności za przysługę, jaką mi pani wyświadczysz.

Zostaję z dozgonném uwielbieniem
najniższym sługą pani,
Chevalier de Vertumne.«

Dziwny ten list rozgniewał panią Bontemps niewypowiedzianym sposobem, i gdyby nie owa asygnacyja, byłaby cnotliwa wdówka miała swego kuzynka Candala w podejrzeniu, iż onto sobie tego niegodziwego żartu pozwolił; lecz ofiarowana jéj suma świadczyła niezbicie o rzeczywistości oświadczeń nieznajomego wielbiciela. Nareszcie wpadło jéj na myśl, iż wzgardzeni jéj kochankowie, chcąc się zemścić, zastawili to sidło na nią, aby ją potém przed całym światem ze sławy wyzuć. Dlatego oddała list i pieniądze dyrektorowi policyi panu de Sartines, upominając się o świetne zadośćuczynienie za obrazę, jakiéj się przeciw jéj osobie dopuszczono.

Lecz pan de Sartines był tego zdania, iż tylko bardzo możny pan kilka obojętnych spojrzeń tak drogo okupywać może, i zaniechał przeto wszelkich poszukiwań w téj mierze. Podczas kilku przedstawień opery, były oczy całéj publiczności na orkiestrę zwrócone; nie jedna dama dworska życzyła sobie zarobić w ten sposób kilka tysięcy liwrów miesięcznego dochodu, a wielu małżonków ganiło panią Bontemps, iż tę rzecz rozgłosiła, zamiast coby miała była list spalić, a pieniądze zatrzymać, lub między ubogich rozdać. Nikt jednak kawalera de Vertumne odkryć nie mógł.

Zténiwszystkiém pani Bontemps bywała dość często na operze, a spojrzenia jéj zwracały się nieraz mimowolnie ku orkiestrze, aby siedzące w tamtéj stronie osoby przepatrzeć; lecz nic nie nawiodło ją na ślad nieznajomego. Raz tylko zdało się jéj, jakoby w cieniu kurytarza spostrzegła była ową szkaradną postać we fraku z dyjamentowémi guzikami, atoli zjawisko to znikło natychmiast, zaledwie pani Bontemps na nie spojrzała. Od czasu téj przygody, która w całym Paryżu w powszechny rozgłos poszła, stała się nasza wdówka jeszcze bardziéj w swojém postępowaniu surową. Odprawiła resztę przyjaciół, którzy jeszcze byli jéj pozostali, nie pozwoliła się odwidzać w loży swojéj podczas opery, zawsze jednak okazywała się tam w najświetniejszym stroju. Zatoż ludzie tém mniéj cnotę jéj cenili, im więcéj ona wdziękami swémi jaśniała.

Po upływie miesiąca nadszedł do pani Bontemps nowy list od kawalera de Vertumne, który jéj najczulsze wyrzuty czynił, iż sama niepotrzebnie szkodliwą obmowę na siebie wywołała; dziękował jéj daléj za tak łaskawe dopełnienie jedynych, jakie on rościć się poważa, życzeń i nadziej, i prosi ją, zachować mu nadal swoję życzliwość. Na poparcie téj nieśmiało wyrzeczonéj prośby załączone były nowe dwa tysiące luidorów. Umieszczony poniżéj dopisek błagał ją o przypomnienie sobie k o g o ś co wieczór, gdy będzie szła na spoczynek. Tym razem podarła pani Bontemps bez namysłu otrzymany bilecik, a pieniądze schowała do sekretarzyka.

Pewnego wieczora, przy wyjeździe pani Bontemps z teatru, zdarzyło się, iż jéj lokaj gdzieś w szynkowni dłużéj nad porę się zabawił, a również podchmielony woźnica konie co siły w cwał rozpędził. Jednak zajęta odniesionem przed chwilą zwycięztwem nad wszystkiemi swojém spółpięknościami, nie zważała pyszna i rzęsisto w klejnoty ustrojona wdówka, iż powóz jéj od niejakiego czasu po pustych ulicach w pobliżu pól elizejskich się błąkał, gdzie blade latarnie bezskutecznie z ciemnością słotnéj grudniowéj nocy walczyły. Marzyła ciągle jeszcze o swoich dzisiejszych tryjumfach, liczyła w duchu wszystkie wzbudzone przez siebie namiętności, jeszcze dźwięki muzyki w pamięci jéj odbrzmiewały, wszystkie jéj zmysły były jeszcze urokiem tego pięknego wieczora zachwycone, a rojenia jéj krąży-

ły ciągle wokoło orkiestry, i owego tajemniczego wielbiciela, którego oczy i myśli były nieustannie ku niéj zwrocone, a którego ona sobie młodym, przystojnym, jużto blondynem już brunetem wyobrażała. Nagle krzyknął ktoś do woźnicy: »Stój!» Woźnica zaciął konie, lecz powóz stanął jak wryty na miejscu. „To rabusie!» ozwał się przestraszony woźnica, a w téjże samej chwili sięgnęły dwie zbrojne ręki otwartémi drzwiczkami do powozu, i dały się widzieć dwie dzikie, szyderczym śmiechem wykrzywione twarze u okna powozowego.

„Precz, łotry!» zagrzmiał w tymże samym czasie jakiś głos w pobliżu. »Myślicież iż macie tylko z bezbronną kobiétą do czynienia!» — Te słowa wymówione były od mężczyzny, który już szpady dobył, i śmiało na zbójców natarł.

Na chwilę powstał szczęk szpad, który jednakże wkrótce zamilkł. Ciężkie runięcie dwóch ciał o ziemię i odzywające sie zarazem bolesne jęki, były znakiem, iż walka krwawo się zakończyła. Pani Bontemps, która już zabiérała się zemdléć, wyjrzała z powozu, i postrzegła na bruku jednego nieżywego, a jednego rannego, lecz jéj wybawca, jako i trzeci zbójca, który był konie trzymał, zniknęli bez śladu. Drzący ze strachu woźnica opowiedział, iż w téjże chwili, kiedy zbójcy na powóz napadli, jakiś mężczyzna tak niespodzianie i silnie na nich natarł, że nie mieli czasu opamiętać się i do odporu stanąć. Pani Bontemps przypisywała to ocalenie oczywiście panu de Vertumne, dziwiąc się tylko, iż on nie korzystał z téj chwili, aby się jéj przedstawić. Próżność jéj była w tém niemniéj dotkniętą jako i ciekawość jéj.

Przejęta uczuciem wdzięczności, powabna nasza wdówka nie tylko iż dopełniła warunków ugody— do któréj się wprawdzie nie zobowiązała, za którą jednakże miesięczny pobiérała dochód— lecz dopełniła ich owszem z przewyżką, gdyż nie czekając wieczora, aby o swoim walecznym obrońcy pomyślić, a nawet prawie za nim zatęsknić, zajmowała się nim przez dzień cały, tak dalece, iż wkrótce znaczną część jéj serca opanował. I nic też jéj zbytniéj skromności nie obrażało; samo bowiem zwierciadło było świadkiem rumieńców, jakiemi na wspomnienie kawalera de Vertumne lica jéj się krasiły. Pani de Bontemps rozkochała się rzeczywiście w delikatném zachowaniu się swojego niewidomego kochanka, który od wszystkich innych samolubnych, natrętnych wielbicieli, wcale się różnił; zapragnęła nawet w duszy, aby się bliżéj oświadczył, aczkolwiek zawsze jeszcze głośno w siebie wmawiała, iż strzały miłości nadaremnie o jéj serce obijać się będą. — Trzeciego listu, który właśnie w tym czasie nadszedł, już nie rozdarła, lecz odczytała go z żywém wzruszeniem.

Nareszcie zadała sobie po raz piérwszy pytanie: co może być powodem téj tajemnicy? Kawaler de Vertumne, sądząc po jego znamienitych darach, był zapewne możnym panem; lecz jeżli był młodym, wysokiego stopnia i majętnym, pocóż było mu wybiérać tak osobliwszą do swego romansu drogę, która mogła go narazić na niebezpieczeństwo: być krzywo osądzonym, a nawet na nienawiść wystawionym? Piérwsze konieczne przymioty, jakie każdy kochanek, bądź w rzeczy samej, bądź przynajmniéj na pozór mieć powinien, jakoto dowcip i twarz nieszpetną, przypuszczała pani Bontemps za rzecz samą z siebie rozumiącą się, i byłaby raczéj uwierzyła, iż on jest synem kata, mordercą lub komedyjantem, niżby go sobie była miała z prostą, brzydką twarzą wystawiać — ponieważ go już, chociaż dopiéro jak poza obłokami kryjącego się bożka kochała. Tymczasem musiała pani Bontemps dzień i noc bramę swego mieszkania strzedz kazać, aby jéj niestrudzony zalotny kuzynek z gwardyi francuzkiéj, do niéj przedrzéć się nie mógł.

W takich okolicznościach uważała kochanka tajemniczego kawalera za obowiązek sumienia, bywać na każdém przedstawieniu opery, i na orkiestrę spoglądać. Niekiedy zapominała ona wcale o muzyce i śpiewie, aby się zupełnie czarownym oddawać marzeniom, a natenczas pojawiał się jéj zawsze uroczy, zachwycający obraz, upiększony wszystkiémi wdziękami i przymiotami, jakie tylko nieznaną idealną istotę zdobić mogą. Wprawdzie jeszcze skromność czasami miłości się opiérała, lecz nie można było już wątpić, iż piérwsze osobiste wystąpienie kawalera de Vertumne, tę nierówną walkę na zupełną korzyść serca rozstrzygnie.

Jednego razu odczytywała pani Bontemps powtórnie ostatni list kawalera, gdy do jéj pokoju wszedł notaryjusz z pisarzem i adwokatem, wszyscy trzéj czarno, jak na pogrzeb, ubrani, i stosownie też do tego zasępieni, i ledwie nie ze łzami w oczach. Od czasu śmierci swego małżonka, który wprawdzie ładny, lecz oddawna trwającym procesem zagrożony majątek zostawił; spuszczała się pani Bontemps w téj mierze całkowicie na zręczność prawników, i o toczące się ciągle rozprawy sądowe, bynajmniéj się nie troszczyła.

„Pani!» ozwał się notaryjusz z wszelką nieśmiałością, jaka zwykle doniesieniu nieprzyjemnéj wiadomości towarzyszy. „Ach pani, przychodzimy z sądu, gdzie jéj proces właśnie rozstrzygniętym został.»

»Mów pan o tém z moim pełnomocnikiem;» odpowiedziała pani Bontemps, nie chcąc się nudzić tą niemiłą okolicznością.

Lecz notaryjusz ciągnął mimo to żałobnym głosem daléj:

»Ach pani, proces jéj przegrany; jesteś skazaną zapłacić całą sumę sporną i koszta procesowe, razem 300.000 liwrów. Dla zebrania tych pieniędzy

będziesz musiała sprzedać swój zamek Maubois, drugi zamek w Normandyi, kamienicę w Paryżu, a nawet swoje klejnoty i sprzęty.»

„To niepodobna!” zawołała wdowa zdziwiona i drżąca. »Bontemps zostawił mi przeszło 50.000 liwrów dochodu, nie licząc w to pensyi z kasy królewskiéj, a w tych dwóch latach, odkąd go opłakuję...»

»Żal mi jest,” — odrzekł notaryjusz — »lecz ze wszystkiego majątku pani, po opędzeniu wszelkich wydatków, małoco albo nic się pani nie zostanie, gdyż licytacyje urzędowe zwykle bardzo mało niosą, a koszta są już teraz nadzwyczaj wielkie...»

„Strzelec kawalera de Vertumne, życzy sobie natychmiast z panią mówić;” oznajmił służący.

Pani Bontemps była w zbyt krytycznem położeniu, aby posyłka od jéj opiekuńczego ducha nie miała się jéj była wydać bardzo pomyślnéj wróżby. Kazała więc przywołać strzelca, który miał czarną liberyję na sobie. Przyniósł on skrzyneczkę z wonnego drzewa, w stal okutą, a tak ciężką, iż pani Bontemps, odbierając ją od strzelca, o mało jéj na ziemię nie opuściła. Po otworzeniu skrzyneczki, okazała się ona cała złotem i papiérami bankowémi napełnioną. Pani Bontemps zarumieniła się na widok tego w obecności kilku świadków ofiarowanego jéj skarbu, nie wiedziała chwilę co robić, a wreszcie wzięła list, towarzyszący temu darowi, i wyczytała:

»Pani! Właśnie w téj chwili dowiedziałem się, jaki wyrok w sądzie przeciwko tobie zapadł, i wziąłem to za sposobność, okazać pani, kto i gdzie jest ten, który ci dozgonne poświęcenie zaprzysiągł. Wyznaję nawet, iż miałem zrazu myśl, stanąć osobiście przed tobą, aby cały mój majątek do stóp ci złożyć, lecz lękałem się, aby osobistość moja nie wstrzymała cię od przyjęcia nie — daru, nie pożyczki, lecz długu, który na siebie przyjąłem, przywiązując się do pani, i ślubując ci moje nieszczęsne życie. Pozwól pani sobie to wyznać; jestto jedyne szczęście, jakiego zapragnąć mogę. Zdało mi się, jakobyś pani niekiedy miała dla mnie myśl życzliwą, myśl, żadném nienawistném uczuciem nie zatrutą; zdało mi się, jakoby oczy pani niekiedy mię szukały. Ach, obyś mię pani przenigdy nie ujrzała, gdyż natenczas nicby mi nie pozostało, jak tylko umrzéć z żalu — gdyż wszelkie porozumienie między sercami naszémi musiałoby wówczas zginąć. Jestem zniewolony poprzestać na tém, abym panią widział, nie będąc sam widzianym, kochał ją, nie będąc sam kochanym. Lecz nie zapomnij pani nigdy, iż gdzie tylko jesteś, tam i ja zawsze jestem, i że krew moja gotowa jest płynąć w każdéj chwili za ciebie.

Twój kawaler de Vertumne.»

Zapewne stosownie do rozkazu swojego pana, oddalił się strzelec cichaczem, podczas gdy pani Bontemps długo i długo ten list czytała, i wcale go się naczytać nie mogła. Nareszcie, jakby nagłem natchnieniem wiedziona, pobiegła do okna, i ujrzała na ulicy czarny powóz, który w największym pędzie gnał zprzed jéj domu. Pani Bontemps otarła kilka łez wdzięczności i radości z swych pięknych oczu, i spokojnie usiadła.

Poczém ozwała się niedbale do prawników, którzy w pełném uszanowania milczeniu jéj odpowiedzi czekali: „Nie widzę żadnéj potrzeby sprzedawania moich zamków i kamienicy. Podobnież i klejnoty moje zatrzymam, jeżli panowie nic przeciw temu nie macie. Obliczcie wszystkie moje długi, a ja zaspokoję wierzycieli. O przegranym procesie proszę mi nic nie mówić; mój pełnomocnik wszystko to już załatwi.”

Kilka tygodni upłynęło od tego czasu, a kawaler de Vertumne, mimo tak wielkiego dowodu swojéj bezimiennéj miłości, zawsze jeszcze zdala się ukrywał, lubo wdzięczność pani de Bontemps tymczasem w miłość się przemieniła, i nicby piękna wdówka była przeciw temu nie miała, gdyby owe trzykroć stotysięcy liwrów przyszło jéj było na rachunek zapisu ślubnego policzyć.

Pewnego wieczora, po powrocie z opery, gdzie jéj spojrzenia wszystkich w pobliżu orkiestry widzów bacznie przeglądały; rozebrała się pani Bontemps ze wszystkich swoich piór, korónek i robronów, i odesłała wszystkie służebne, aby zostać sam na sam ze swoim niewidomym kochankiem, zanim miłe marzenia w sen jéj nie ukołyszą. Miała ona bowiem zwyczaj, pisywać co wieczora długie listy do téj nieznanéj istoty, która się jéj tylko w ogromnych darach i tajemniczych bilecikach pojawiała. Pióro bywa śmielsze niż język, a zresztą listy zakochanéj wdówki nie miały nigdy dojść osoby, do któréj były zwrócone; przetoż stawały się one coraz tém poufniejsze, im swobodniéj serce na papiér się wylewało. Wszakże miłość sama sobą się żywi.

Zaledwie pani Bontemps rozmarzona i zatopiona w myślach do sekretarzyka usiadła, gdy wtém ozwał się za nią śmiéch głośny, i wystąpił z alkierzyka ukryty w nim mężczyzna. Pan de Candal przekupił jednę z pokojowych swojéj kuzynki, i za jéj pomocą skrył się w mieszkaniu surowéj wdówki, postanowiwszy nie wyjść w inny sposób z domu, jak z pisemném przyrzeczeniem ślubu w kieszeni. Wino, którém pan kapitan sowicie się uraczył, dodało mu odwagi do tego bohatérskiego kroku, a myśl o znacznych dochodach pani Bontemps i o oczyszczeniu się niémi z odwiecznych długów; dodała mu należytéj ochoty. Wystroił się więc jak na paradę, wypudrował i upomadował włosy, podkręcił wąsa, zasadził kapelusz na ucho, i przybrał gracką, marsową minę. Tak pełen zaufania w swoje zwycięztwo, stanął przed piękną kuzynką, i kładąc rękę na szpadę, zlekka się jéj pokłonił.

(Dokończenie nastąpi.)

Mehmed-Ali.

Do najznakomitszych mężów naszego czasu należy bezsprzecznie obecny wicekról egipski. Onto piérwszy wyrwał Egipt ze stanu barbarbarzyństwa, w jakim ta kolebka starożytnéj mądrości, od sześciu wieków pod rządem Mameluków i Turków zostawała. On jeden umiał odkryć zasoby, jakie ten kraj sam w sobie zawiéra, i co więcéj, umiał należycie ich użyć. Popełnił on zapewne nie jeden błąd, lecz mimo pojedyńczych usterków, dąży silnie naprzód, a to jest na Wschodzie niesłychaną dotąd nowością. Gdziekolwiek ślady lepszego bytu, nowo rozwijającej organizacyi się pojawiają, wszędzie-to ręka baszy je wywołała. Długoletnie wojny, które staczać musiał, wymagały utworzenia floty i wojska, które z wielkiemi ofiarami skarbu i kraju połączone były. Zarzucają mu, iż przedsiębierze ciągle olbrzymie budowle, przy których znaczna część ludności całego kraju niszczeje i ginie, ale nie dajeż się i w Turcyi coroczny ubytek ludności dostrzegać, aczkolwiek sułtan podobnych prac na ludy swoje nie wkłada?

Wiadoma jest poniekąd bijografija tego starego wojownika, który obecnie wicekrólem Egiptu się zowie. Jestto żywot gerylasa, w kraju, gdzie najśmielszy prędzéj czy późniéj pewny jest najwyższéj władzy dostąpić. Mehmed-Ali, mający teraz około 77 lat, urodził się w Cavala; ojciec jego był rybakiem. Napad zbójców morskich, za który młody Mehmed mszcząc się, na czele małéj garstki ochotników przeciw nieprzyjaciołom wyruszył; piérwszą do rozwinięcia jego wojennych zdolności stał się pobudką. Sposób, w jaki korzystać umiał z udziału, który ta śmiała wyprawa w gubernatorze i żonie jego wzbudziła; był dowodem jego niezwykłéj roztropności. Jakoż zaledwie gubernator umarł, młody syn rybacki został w każdym względzie jego następcą.

Po niejakim czasie narzucił się on na obrońcę pułków albańskich, które od Wielkiéj Porty niektórych zmian w naczelnikach, i wypłaty zaległego im oddawna żołdu żądały. Kosrew-basza widział niechętnie coraz bardziéj wzmagającą się wziętość młodego wojownika, a pewnego wieczora, podczas parady, otrzymał Mehmed-Ali list, zapraszający go na schadzkę ze swoim jenerałem o północy. Młody Mehmed przyłożył z uśmiechem list do czoła, co na Wschodzie jest znakiem uszanowania i posłuszeństwa, i odpowiedział, iż się stawić nie omieszka; zarazem jednak obrócił się do swoich żołniérzy, oznajmił im, o co chodzi, i dodał: »Wiecie aż nazbyt dobrze, co waszego obrońcę przy nocnej schadzce czeka. Więc pójdę tam, ale mamże tam pójść sam jeden?«

W oka mgnieniu nastąpiła odpowiedź, a 4000 szabel albańskich, które razem z pochew błysnęły, przekonały Kosrew-baszę o niebezpieczeństwie żądanéj schadzki.

»Oto Kairo stoi teraz na przedaż!« — zawołał zuchwały naczelnik — »a kto ma najlepszą szablę, ten kupi!«

Ta myśl podobała się tak mocno Albańczykom, iż Mehmeda natychmiast wodzem obrali, i pod jego naczelnictwem, w połączeniu z Mamelukami, Kosrew-baszę i całe wojsko tureckie ze szczętem wytępiać zaczęli.

Od tego roku, aż do r. 1839, było życie Mehmeda-Alego pełne zmiennych kolei. Zwycięztwa i klęski następowały po sobie w dziwnej mieszaninie, a pamięć bitew pod Unkiar-Melessi i Bejrut, zaciéra wspomnienie bitew pod Nesib i Konja. W ogólności, bądźto w pomyślnych bądź niepomyślnych okolicznościach, zasługuje polityczny talent Mehmeda, jego przezorność i przenikliwość, bezwarunkowe uwielbienie. Równie zdolen poskromić się w szczęściu, jak nie tracący odwagi po klęsce, zdaje się nam Mehmed-Ali być jeszcze większym politykiem niż żołnierzem. Wojna jest dla niego tylko środkiem do osiągnienia celu, i przeto właśnie stoi on daleko wyżéj, niż wielu innych, którzy się za pomocą oręża wznieśli.

»Jak wszyscy ludzie,« — pisze lord Nugent w swojém dziele o Egipcie — »lubi téż i Mehmed-Ali pochlébstwo; co więcéj, nawet je sam niekiedy wywołuje, lecz jak to rozsądni ludzie czynić zwykli, żąda on, aby go jaknajzręczniéj i najdelikatniéj używać. Widoczném jego upodobaniem jest, mówić z przedstawionymi sobie ludźmi o takich właśnie rzeczach, w których oni bieglejsi są od niego, a wtedy okazuje trafnemi pytaniami, jak wielką ma pojętność, i jak łatwo jeszcze bardziéj przedmiot ten mógłby zgłębić. Stosownie do panującego na Wschodzie zwyczaju, rozpoczyna on powszechnie rozmowę grzecznem pozdrowieniem, a wysłuchawszy powitania gościa, odzywa się zwykle z następnym frazesem, którego prawie nigdy nie zmienia, bez względu na wiek i narodowość gościa:

»Jesteś młodym a żyjesz w starym kraju, podczas gdy ja, starzec, muszę żyć w kraju, z gruntu nanowo urządzonym.«

Poczém mówi najczęściéj, i również stereotypowym sposobem: »Strawiłem wiele czasu, aby stan tego kraju naprawić, i nie jedno téż naprawiłem. Lecz młodość moja upłynęła śród wojen; prace spokoju wymagają daleko dłuższego czasu niż prace wojny, a gdy rządy objąłem, nie stało mi już czasu do wykonania moich zamiarów. Musiałem nietylko zasiéwać ziarno, lecz oraz wypleniać chwasty. W ojczyźnie pana jest przynajmniéj grunt zorany, i potrzeba tylko lekkiego pługu; ja musiałem własną ręką rozpocząć pracę, i dopiéro późniéj jąłem się rydla. Ach! zaledwie teraz do pługa mi przyszło....«

Piérwszą racę, jaką zazwyczaj dają tym, którzy o audyjencyję proszą, jest, aby zapytać baszę o jego lata, a po wymienieniu onych, uczynić uwagę, iż jego wysokość urodził się w tym samym roku, co Napoleon i Wellington.

»Ale sąto tylko drobne, mniéj więcéj wszystkim ludziom właściwe słabości,« dodaje lord Nugent. »Skoro się zwyczajne formuły i komplementa skończą, a rozmowa weźmie obrot ważniejszy, można wkrótce dostrzedz w baszy męża rzadkich przymiotów, i przekonać się, iż wezwanie jego do otwartego oświadczenia mu swego zdania o Egipcie, i wrażenia, jakie ten kraj na podróżnych sprawia, jest daleko szczérszém, niż powszechnie mniemano. Prawda, iż on w rozmowie nie raz omamić kogoś się stara, i w ogólności żadnego fortelu do obalenia czynionych mu zarzutów nie omija; lecz gdy znajdzie, że ktoś dokładnie ze swoim przedmiotem jest obeznany, a w rozsądnéj krytyce tego lub owego urządzenia nie łatwo da się uwikłać natenczas przestaje z nim dysputować, uderza go poufale po kolanie, i z dowcipną miną się uśmiécha.«

Po niejakiém zapoznaniu się z władzcą Egiptu, obeznajmy się nieco z jego krajem, w czém nam głównie książka angielskiego podróżnika Warburton posłużyć może. Dzieło to celuje oddaniem malowniczéj strony Egiptu, a towarzysząc temu śmiałemu pątnikowi w jego żegludze po »świętéj rzece«, zdaje się, jakbyśmy w istocie słyszeli szum tych tajemniczych fal nilo-

wych, które od lat tysięcy z kolei Egipcyjan, Assyryjczyków, Rzymian i Maurów nosiły.

»Przedewszystkiem« — mówi Warburton — »wpada w oczy zkoncentrowanie się żywotnéj siły wzdłuż brzegów Nilu. W pobliskiej puszczy nie masz śladu życia, w okolicy zaś nilowéj pojawia się ono w wszelkich postaciach. Zaludnione rojami dziwnych ryb fale, toczą się śród brzęku gęstéj, nad ich powierzchnią unoszącéj się chmury much i owadów. Toż i brzegi lśnią się i błyszczą od tysiąca wężów, jaszczurek i różnorodnych płazów. W nadzwyczajnie bujnéj roślinności roi się nieskończona moc robactwa.«

»Gdyby jednym zaciągiem sieci tę całą skrzydlatą ludność ułowić można; mianoby jeden z najosobliwszych zbiorów, jakie kiedy zdobiły muzea naturalne. Gdyż prócz wymienionych rodzajów, jest tam jeszcze najrozmaitszych ptaków bez liku. Białe jak śnieg pelikany, krogulce, żórawie i tysiące innego ptactwa, tłumią się nieustannie w powietrzu. Zarazem ciągną chmury rajskich ptaków, dudków, dzikich gołębi i jaskółek, podczas gdy wysoko nad niémi krąży orzeł i jastrząb', upatrujący łupu pomiędzy żywémi stworzeniami, jako i sęp, oczekujący aż mu go śmierć dostarczy.«

Przy tém okwitém przepełnieniu zwiérzęcego i roślinnego życia; sam tylko rodzaj ludzki jest w Egipcie nieliczny i mało rozwinięty. Pobory wojskowe i roboty publiczne umniejszyły ludność krajową, chociaż z drugiéj strony zważać należy, iż gdziekolwiek rząd Wielkiéj Porty po rządach baszy nastąpił; wszędzie tożsamo uciemiężenie panuje, i wiele jeszcze innych plag przybyło, których jeniju-z baszy uniknąć umiał. Obawa poborów wojskowych jest tak wielką, iż przynajmniéj dwie trzecie części mieszkańców są dobrowolnie pokaleczone, i osobna klasa ludzi się znajduje, któréj wyłącznem zatrudnieniem jest, chodzic od wsi do wsi, i obcinać chłopom palce u rąk, albo im oczy ociemiać.

Osada okrętu, na którym Warburton po Nilu płynął, składała się z dwunastu majtków, między którymi właściwie tylko pięciu zdolnych do służby było; reszta same kaleki. Ta nędza ludu, ten lęk wojny i pracy, dadzą się zresztą z łatwością wytłumaczyć, gdy zważymy, na jakie ciężkie próby, olbrzymie przedsięwzięcia baszy, lud egipski wystawiały.

Jednym z głównych przykładów tego, jest kanał Mahmudje. Aleksandryja leży w niejakiéj odległości od Nilu; takzwane kanopickie ujście jego, zalegał oddawna namuł etyjopski, a zwycięzcy Arabowie, chcąc twierdzę z rzéką połączyć, musieli bić kanał. Za czasów Mameluków został ten kanał zasypanym, a miasto Aleksandryja, utraciwszy przezto komunikacyję z Nilem, nachyliło się ku upadkowi, podczas gdy natomiast Rosette nabyło chwilowego znaczenia. Mehmed-Ali, dostąpiwszy tronu, uznał wkrótce, dlaczego wielki Aleksander na wybrzeżach morza śródziemnego, nazwane po sobie miasto założył, a korzystne położenie tegoż portu zwróciło natychmiast uwagę baszy. Alcż Aleksandryja była naówczas tylko lichém siedliskiem zbójców morskich, któremu z jednéj strony puszcza, z drugiéj morze, coraz widoczniéj ostatecznem zniszczeniem groziły. Basza załadnił pustynią, założył gościniec do morza, i wzniosło się wielkie i piękne miasto, liczące rychle do 60.000 mieszkańców, a prawie w tym samym czasie wznowiono dawny kanał, który Aleksandryi handel całego Wschodu z Zachodem miał zapewnić.

Jestto zaiste wielkie, spaniałe dzieło; lecz każda rzecz ma swoję odwrotną stronę; a to olbrzymie przedsięwzięcie baszy, zasługuje nie tylko dla swego ogromu lecz oraz i dla połączonego z niem okrucieństwa, stanąć na równi z starożytnémi dziełami Faraonów. Spędzono 250.000 ludzi, bez różnicy płci i wieku, z siół okolicznych ku wybrzeżom pomienionego kanału. Mieli oni tylko na jeden miesiąc żywności i mało narzędzi do pracy, lecz przeciw rozkazowi baszy nie masz oporu! Jeden miesiąc miał wystarczyć do wykonania téj pracy. To téż pracowali wszyscy z natężeniem rozpaczy, tak mężczyźni, jak i małe dziatki z zakrwawionémi od wygartywania ziemi rękoma, i ledwieco z łoża powstałe położnice. Wreszcie nastał głód, i można sobie wystawić, w jak okropnym stanie te krocie ludu się znajdowały. Jakoż 25.000 poległo trupem w tym opłakanym kanale, lecz zamiar został dokonanym, a w przeciągu sześciu tygodni fale nilowe toczyły się ku Aleksandryi. Cały ten kanał ma przeszło 25 mil francuzkich długości, więcej niż 70 stóp szérokości, a około 15 stóp głębi. Po odkopaniu gu potrzeba było jeszcze 10 miesięcy do ukończenia reszty robót około niego. Po upływie tego czasu było wszystko gotowe prócz jednéj sluzy prowadzącéj do Nilu; bej, mający sobie sporządzenie téj sluzy poruczoném, przepłacił życiem swą opieszałość. Lecz możnaż się spierać o środki, gdy skutki tak są wielkie!

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 43ci i zawiera: 1) Uprawa chmielu w okolicy Rottenburga nad rzeką Nekarą. 2) O oszczędzeniu paszy i użyciu stosownych surogatów. 3) Wiadomości handlowe i przemysłowe.

Księżna Orleańska, zaproszona, jak wiadomo, do Londynu, na chrzciny nowonarodzonéj królewny angielskiéj, nie udała się tamże osobiście; ponieważ związaną jest ślubem nierozłączania się nigdy z swojémi dziećmi. Uczyniła ona ten ślub z powodu nagłéj śmierci swego małżonka, księcia Orleańskiego, w chwili, gdy cała rodzina królewska ze łzami najsroższéj boleści wokoło jéj dwojga osieroconych dzieci, hrabi Paryża i księcia Chartres, zgromadzoną była. Księżna Helena Orleańska ślubowała natenczas uroczyście, iż nigdy, pod żadnym warunkiem, ani na chwilę królewskich sierot swych nie odstąpi, lecz ciągłém wiernem czuwaniem nad niémi, stratę zawcześnie wydartego im ojca wynagrodzi. Jakoż dochowała dotąd święcie tego ślubu, i przez cały ciąg czteroletni, od owego dnia nieszczęsnego, nigdy, chociażby tylko na chwilę, dzieci swych nie opuściła. Wszelkim festynom, uroczystościom, widowiskom, prezentacyjom, bywa ona tylko wtedy obecną, kiedy jéj dzieci razem z nią tam być mogą. Stanież ta miłość macierzyńska za ducha opiekuńczego, który hrabię Paryża skróś wszelkich burz przyszłości bezpiecznie i pewnie do tronu zawiedzie? Zaiste! rozpamiętując losy mniemanych następców tronu we Francyi od lat 50, uczuwamy boleśnie, iż oni silnéj opieki niebios potrzebują. Syn Ludwika XVIgo umarł w Temple zapomniany, syn Napoleona, spodziewany dziedzic pół Europy, umarł w Szenbrunie, syn Karola Xgo, książę Berry, zginął z ręki skrytobójcy, książę Bordeaux, żyje wygnańcem w obcym kraju, pierworodny syn Ludwika Filipa, padł jakby gromem pioruna

rażony; wszyscy oni mieli troskliwe i kochające matki — obyż matka hrabi Paryzkiego szczęśliwszą od nich była!

»Konkurencyja«— czytamy w pismach niemieckich — »pobudowała miasta, konkurencyja żywi milijony, konkurencyja przysparzą posiadaczom ziemskim możności uprzyjemniania sobie życia wszelkiemi wygodami i ozdobami cywilizacyi, konkurencyja sprawia, iż ubogi wyrobnik czystą koszulę zamiast surowéj skóry zwiérzęcéj przywdziewa, a nawet też niekiedy dobrą książkę przeczytać może, i że się, jak dziki człowiek, z maczugą w ręku, po lesie nie wałęsa. Ależ konkurencyja nie panuje tylko na targowiskach i w portach, zkąd bez niéj, nie więcéj odpływałoby okrętów do Ameryki, jak np. holenderskich okrętów z Jawy do Japonii. Jedyny okręt europejski przywoziłby nam cukier i kawę, co teraz, przy konkurencyi, tak tanio nabywać możemy. Konkurencyja zabiéra miejsce na mownicy w izbie deputowanych, zaszczyca wór z wełną w izbie angielskich lordów, na którym teraz prosty dorobkiewicz siedzi; konkurencyja prowadzi do steru ministeryjalnego, który nie dawno, w ręku fabrykanckiego syna się znajdował, ponieważ więcéj zaufania w kraju niż wszyscy synowie lordowscy posiadał. Konkurencyja daje krzesła burmistrzowskie w londyńskim Mansion-house, i katedrę profesorską. Teraźniejszy lord-major Londynu wszedł jak ubogi chłopczyna do téj stolicy handlu, a własną zabiegłością, pracą, uczciwością i błogosławieństwem nieba, doprowadził do tego, iż dziś stoi na czele najbogatszego miasta w świecie. Bez konkurencyi byłby w Londynie tylko jeden aptekarz, jeden piekarz i jeden rzeźnik, bez konkurencyi nie byłby Londyn miastem, jakiem jest dzisiaj.«

Przyprawianie palnéj bawełny. Dr. Otto, profesor chemii w Brunświku, ogłasza w »Gazecie Hanowerskiéj« — co następuje: »Bez najmniejszego zapatrywania się na panów Schönbein i Böttger, i polegając jedynie na dostrzeżeniu Pelouze'a, zawartém w moim »Wykładzie Chemii« na str. 136, t. 1., powiodło mi się przyrządzić bawełnę eksplodującą, przydatną do zupełnego zastąpienia prochu. Uważam za rzecz obojętną dla mnie, sprzedać lub dać sobie upatentować to nadzwyczajnie ciekawe odkrycie moje, którego wszystkich wynikłości w obecnej chwili ani obliczyć naprzód nie można, i podaję takowe niniejszém do powszechnego użytku. Chcąc przyrządzić bawełnę spłonną, bierze się zwykłéj, należyc e oczyszczonéj bawełny, kładzie się ją na pół minuty w jaknajmocniéj skoncentrowany kwas saletrowy — (używany przezemnie kwas przyprawiony jest przez destylacyję 10 części suszonéj saletry i 6 części oleju witryjoli) — następnie daje się umoczoną tak bawełnę do wody, którą często zmieniać należy, aby bawełna od wszelkich przyczepnych cząstek kwasu się uwolniła; przyczém jeszcze i na to uważać trzeba, iżby wszystkie bardziéj skupione kawałki, zarówno z innemi rozgmatwane były, a wreszcie suszy się starannie tę bawełnę, i wszystko już gotowe. Skutki tego preparatu zdumiewają każdego, ktokolwiek je tylko widzi. Najmniejsza ilość takiéj bawełny spłonnéj, położona na kowadle i uderzona młotem, eksploduje jak kulki z żywego śrébra; zażegnięta tlejącą materyją, wybucha jak proch, i zupełnie miejsce prochu w strzelbie zastępuje. Używa się téj bawełny w ten sam sposób jak prochu; robi się z niéj zwitek, kładzie się go w lufę, przybija zwiniętym kawałkiem papieru, a w reszcie daje się kulę. Spłonienie kapsla, sprawia spłonienie bawełny w lufie; wszyscy bez wyjątku, w obec których doświadczenia w téj mierze czyniłem; byli jaknajzupełniéj zadowoleni, i ani jedno, »ale« słyszeć się nie dało.« — Nakoniec załączone jest poświadczenie dwóch leśniczych, iż wszelkie próby strzelania bawełną, najpomyślniéj się powiodły.

Perjodyczność temperatury. Oddawna uważano iż co 35 lat tażsama temperaturą powraca. To dawne postrzeżenie zdaje się i tego roku potwierdzać, gdyż upłynione lato było prawie zupełnie takie, jak lato w r. 1811, kiedy stan termometru często 26 do 28 stopni dochodził. Po tych zaś upałach nastąpiła wczesna i sroga zima, któréj więc, jeśli to doświadczenie jeszcze dłużéj potwierdzaćby się miało, i tego roku spodziewać się mamy.

Używanie elektrycznego telegrafu w Belgii zostało teraz całéj publiczności dozwoloném. Telegraf ten bieży między Brukselą i Antwerpiją. Dzienniki tameczne ogłaszają taryfę takowéj korespondencyi. Za wiadomość zawierającą słów 20 lub mniéj, płaci się 1 1/2 franka, za odpowiedź 70 centymów, a za przesłanie wiadomości do mieszkania, 50 cent. Zapłaciwszy 1 franka wstępnego, można się przypatrzeć maszyneryi telegrafu, który za tak mierną cenę w kilku minutach wszelką wiadomość o mil kilkanaście tam i nazad podaje. Urządzenie to jest równie dogodne dla publiczności jak zyskowne dla administracyi.

Nie odmawiaj jałmużny. Niedawno, o rannéj godzinie, znalazł pewien kupiec w Edymburgu na ulicy dobrze zaopatrzoną sakiewkę z pieniędzmi. Nie było nikogo w pobliżu, prócz jakiejś podeszłéj jéjmości, która szła cokolwiek w dali przed kupcem. Aby się jednak zapewnić, czyto ona w istocie te pieniądze zgubiła; zbliżył się kupiec do damy, zdjął pokornie kapelusz, i zaczął prosić jałmużny, dla »biédnego, podupadłego spekulanta zbożowego.« Dama odprawiła go »z Bogiem« — lecz improwizowany żebrak nie dał się tém odstraszyć, prosił na miłość Boga o kilka groszy na chleb dla swojéj chorej żony i głodnych dziatek. Zniecierpliwiona jéjmość, chcąc się go pozbyć, sięgnęła po sakiewkę, lecz postrzegła ze strachem, iż ją zgubiła. Natenczas mniemany żebrak zwrócił jéj zgubę, dając jéj oraz napomnienie, aby na drugi raz »nie odmawiała żebrakom jałmużny«.

Ironija. Temi czasy poprzylepiane były w Frankfurcie dwa dziwnie sprzeczne ogłoszenia; jedno z nich zapraszało publiczność na koncert panny Lind po olbrzymiéj, czyli, jak za granicą mówią, potwornéj cenie od wstępu; drugie zawiérało wykaz teraźniejszych również wysokich cen chleba!

Wszém w obec, komu o tém wiedzieć należy, donosimy, iż w Budzie wynaleziono zamek, który w razie odemknięcia go bez zezwolenia wynalezcy; niepowołanego odmykacza, dziesięcią kulami wita. Biada wam niepowołani!

Dwie opowiadki z Galicyi, umieszczone w wiédeńskim »Humoryście«: — »Co za krajan jesteś?« zapytał sędzia oskarżonego. — »Byłem niegdyś Czech,« odpowiedział tenże, »lecz odkąd jestem w Galicyi, zostałem Szwabem.« — »A tyś co za krajan?« zapytał sędzia Żyda. — »Ja, panie, jestem krawiec.« — Żydzi nie liczą się tu do żadnego narodu.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.